

## Mitobędzka wiel-o-krok-nie

Wypada zacząć od westchnienia: żałuję (myślę, że nie tylko ja), że nic nie wiedziałem o niewielkiej sesji w Poznaniu poświęconej Krystynie Mitobędzkiej, poetce dla mnie istotnej, której poświęciłem kilka tekstów. Sięgam więc po wydaną niedługo później książkę zbiorową i widzę, że byłoby o czym na sesji podialogować, jako że część autorów stawia zbieżne z moimi tezy czy wyraża podobne intuicje. (Niestety owo niedoinformowanie w obecnym polonistycznym życiu naukowym przydarza się coraz częściej).

I tak na przykład Joanna Grądział-Wójcik („Spróbuj zbudować dom ze słów”. O wierszach „niezamieszkanym” Krystyny Mitobędzkiej) i Magdalena Grabczyńska (Mitobędzka w Krainie Czarów) zwracają uwagę na kontekst filozofii Bergsona, co ja z kolei uznałem za spadek po Leśmianie i powiązałem także z kategorią rytmu. Szkice wspomnianej Grądział-Wójcik oraz epizodycznie Elżbiety Winieckiej (*Przeczytać niezapisane – lektura niemożliwa?*) interesująco rysują zbieżne wątki między poetką a Białoszewskim (czego również dotyczył jeden z moich szkiców), co nie dziwi u autorki dobrej książki o Białoszewskim (Winiecka) i autorki jednego z najlepszych mikroszkiców hermeneutycznych o poecie (Grądział-Wójcik). Mniej przekonująco zaś wypadają porównania Marty Suchańskiej (*Samo-bycie*), może dlatego, że posłużyła się najbardziej znanymi, antologijnymi wierszami wczesnego Białoszewskiego (gdym Grądział-Wójcik zgadza się – bezwiednie – że mną, że bardziej inspirujący był tu Białoszewski późny). Powtarza się także wątek „agramatyczności”, łamania reguł normatywnych, najdobitniej postawiony pewnie przez Michała Larka (*Nie. O pewnym aspekcie poezji Krystyny Mitobędzkiej*), przy czym nasze myślenie o tyle by się uzupełniało, że Larek myśli raczej dekonstrukcją, zwłaszcza Paulem de Manem, gdy ja, konserwatywnie, mówiłem o formalistycznym efekcie uduwnienia i *agrammaticité* Michaela Riffaterre`a. Wreszcie Krzysztof Hoffmann (szkic o tytule w przekładzie *hairi no ri*) i Joanna Roszak (*Mitobczarnia*) omawiają jeden z najważniejszych także dla mnie tomów Mitobędzkiej, *Wszystkowiersze*, przy czym Roszak w bardzo udanym szkicu czyta cykl w kontekście poezji konkretnej, a Hoffmann w może najlepszym tekście zamieszczonym w tomie czyta cykl – ale wnioski dają się uogólnić także na inne utwory poetki – w kontekście filozofii Nishidy Kitaro, twórcy słynnej szkoły z Kioto. O Wschodzie jest w tomie także inny szkic, Marcina Malczewskiego, niezły, ale w zestawieniu z ustaleniami Hoffmanna słabszy o tyle, że mniej konkretny, mniej zeksperytowany. „Wschód” Malczewski traktuje jako koncept ogólny, zbiorczy, i to jest w recepcji zachodniej zupełnie przyjęte, gorzej, że źródłem wiedzy o „całym tym Wschodzie” staje się jedna, bardzo podstawowa książka Alana Watts’a o zen. Wyniki czytania również są przeto dość ogólnikowe. Tymczasem Hoffmann wprowadzie również

postuguje się jednym tylko systemem filozoficznym, ale nie jest to wybór „ogólnikowy”, tylko konkretny, bardziej ekspercki, chodzi bowiem o filozofa znanego głównie eksper-  
tom – a i to nie wszystkim – stąd też trudno czynić zarzut, że badacz cytuje jedną książkę  
o Nishidzie, bo, po pierwsze, wielu ich nie ma, po drugie, jest to komentarz, ale i kilka  
oryginalnych tekstów filozofa w przekładzie i to również do nich odwołuje się badacz,  
po trzecie, cytuje także artykuły z prasy zagranicznej o nim. Krótko mówiąc, jest to różnica  
w podejściu do „warsztatu” (badawczego).

W kilku szkicach powtarza się wątek – wracający echem nie tylko przy okazji tej poet-  
ki, ale przy wielu toczonych obecnie dyskusjach o literaturze, a także w wielu recenzjach  
– czy filozofię języka Miłobędzkiej można uznać za modernistyczną, czy też postmoder-  
nistyczną. Pytają o to Winiecka, Larek, Anna Kałuża (*Prezentacje ja: „zadna” i „liczna”*.  
O „*Miastowach*” Krystyny Miłobędzkiej), stawiająca przy tym pytanie o podmiotowość  
(nowoczesna czy po-?). Tak się składa, że pewne wątki i przekonania u poetki w y d a j ą  
s i ę „modernistyczne”, lecz znów inne już w y d a j ą się świadczyć o świadomości bliskiej  
post. Co z tym zrobić? Otóż, jak wspomniałem, takie ustalenia, kto jest modernistyczny,  
kto post, jaki element czyjegoś tekstu jest taki lub owaki, czy ktoś jest „konsekwentnie  
postmodernistyczny”, odbijają się często czkawką w różnych tekstach i – moim zdaniem  
– nic nie wnoszą, co nie znaczy, że nie pełnią pewnej funkcji. Widzę tę funkcję następu-  
jąco – chodzi o kanon. (Zbieżny wątek odnajduję w trzeciej rozprawie, którą wyróżniłbym  
wśród najlepszych, Adama Poprawy *Na początku było inne. Anaglify*). Polski kanon „mo-  
dernistyczny” wydaje się już zamknięty, jeśli więc jakiegoś twórcę niereprezentującego  
ściślej jego czołówki uznamy za „modernistę”, poniekąd skazemy go na niebyt. Kanon  
„postmodernistyczny”, w tym także jego „pierwsza linia”, krytyczna wobec prototypowego  
modernizmu – wariant takiej linii, takiego antykanonu przechodzącego w hipotezę kano-  
nu szkicuje na przykład Michał Paweł Markowski przy okazji swojej książki o Leśmianie,  
Schulzu i Witkacym, mieszczą się w niej między innymi Białoszewski, Wat, Różewicz – jest  
w ruchu. Zdaje się więc, że można jakiemuś pisarzowi „pomóc”, zwłaszcza gdy jest ze  
starszej generacji, w załapaniu się na „nowe”. Natomiast do opisu Miłobędzkiej stosunku  
do języka – i nie tylko tego zjawiska w literaturze – wydają się nierzadko w wielu rękach  
jak cepy i niejednego pisarza dałoby się wpisać gdzieś „pomiędzy” po prostu dlatego,  
że ma poglądy własne, a nie powtarzające literaturoznawcze (zresztą wcale nie oryginal-  
nie polskie) ustalenia. Ten wątek literaturoznawczy jest cieniem – także w sensie Jungow-  
skim – projektu Ryszarda Nycza reformy *Języka modernizmu i Odkrywania modernizmu*,  
skądinąd naszemu literaturoznawstwu potrzebnych. Natomiast nie uważam, by były one  
potrzebne Miłobędzkiej. W zamieszczonej jako ładne domknięcie książki ważnej rozm-  
wie Jarosława Borowca z poetką mówi ona dwa razy: „myślę, że za dużo uwagi przykła-  
damy do samej terminologii” oraz: „bardzo się boję wszelkich terminów. Czasami trzeba  
ich użyć, bo to pewne rzeczy upraszcza i szereguje, a nawet jakoś porządkuje, ale tekst  
może się przecieć w tym określeniu nie mieścić. Inaczej mówiąc, to jest za łatwe”. (Poetka  
mówiła o terminologii literaturoznawczej ogólnie, nie o problemie post versus niepost,  
ale nasuwa się też analogia, że kiedyś taki terror terminologiczny panował w związku

z „awangardowości” i nie-). Otóż myślę, że sama poetka i niektórzy jej komentatorzy, chcąc uniknąć tej łatwości, demonstrują zarazem coś, co nazwałbym „triumfem zasady (?) Wschodu nad zasadą (!) Zachodu”, a mianowicie wracam do Krzysztofa Hoffmanna i jego czytania poprzez Nishidę z jego podstawowym stwierdzeniem o absolutnie sprzecznej samotożsamości. Skoro tak, może Miłobędzka być utopistką językową i jednocześnie sceptyczką, modernistką, postmodernistką, postpostpostpostmodernistką itd. – o ile chce pozostać blisko życia (w sensie: nie w świecie czystej spekulacji rozumowej, jaką kocha Zachód). „Myślę, że wszystkożycie jest tutaj. I święte, i nieświęte, i żywe i pozagrobowe” (z wywiadu Borowca).

Chciałbym teraz ten „triumf Wschodu” jako światopoglądu poetki, ale też jako czytania, które chce być blisko niej (a nie opresywnie się narzucać), połączyć z kategorią macierzyńskości i pokrewności. Od dawna wiadomo, że jest to jeden z najbardziej kluczowych dla poetki tematów i mówią o nim Grądział-Wójcik i Winiecka, ale osobny – i z tych prób według mnie najlepszy, najbardziej matczyzny – tekst tej kwestii poświęciła mu Katarzyna Kuczyńska-Koschany (*Miłobędzka, macierzyństwa*), który to tekst uważam za czwarty w rankingu mojego czytania tej zbiorówki (która, jak to zbiorówki, jest nierówna) i zamykający stawkę. Pamiętając, że posługujemy się „dużymi metaforami”, jeśli myślenie zachodnie uznać za „ojcowskie” w takim to sensie, że oddziela się ono od swojego przedmiotu, chce uniezależnić, odciąć, schłodzić, by go „opisać” itd., jeżeli można dominującą myśl zachodnią określić mianem fallogocentrycznej, to wówczas (ale przez tę dziwną antagonizację!) myśl wschodnia, „miękką”, polegająca na wczuciu raczej niż spekulacji, może zostać uznana za „kobiecą”, „macierzyńską”. W każdym razie w projekcie Krystyny Miłobędzkiej, u której „wschodniość” nie jest narzuconym jej światopoglądem, tylko znanym i deklarowanym, tak się to łączy. Rzecz w tym, że badacze aspektu Wschodu i drugiego, macierzyńskości, nie łączą ich w jedno. A przecież kategoria e m p a t i i jest kluczowa dla owego ogólnie rozumianego „Wschodu”, a konkretniej, w buddyzmach. Otóż empatia ściśle wiąże się z odczuwaniem naturalnych pokrewieństw w kosmosie. Pokrewieństwo wszystkiego ze wszystkim u poetki mianowicie różni się od hermetycznych, romantycznych a potem Baudelairowskich *correspondances* osobistym zaangażowaniem, uczestnictwem, nie byciem jakimś „świadkiem” pokrewieństw. U Baudelaire’a natura jest raczej pozerająca, u Miłobędzkiej – głównie r o d z a c a, a ta, ten, kto rodzi (jakkolwiek) jest w stanie zrozumieć każdy twórczy przejaw natury (znów kłania się Bergson) i jego ból (kłania się buddyzm). Przy czym Miłobędzka nie wyróżnia człowieka spośród na przykład zwierząt.

Kluczowy jest tu wiersz *Razić, urazić, porazić...* z tomu *Imiesłowcy*, którego n i k t nie interpretuje, tylko Malczewski zacytował go na koniec swojego tekstu, aby mieć ładną puentę. A przecież to najważniejsza bodaj wypowiedź Miłobędzkiej o empatii. Człowiek okazuje się zdolny do empatii nie dlatego, że wie o swoim bólu, lecz dlatego, że właśnie nie wie! Zobaczmy cytat:

„Nie znam grubości mojej skóry. Grubości skóry tego psa, śliwy, wody, stołu, twojej ludzkiej”. A cały wiersz rozgrywany jest na, jak to się mówi, drzewie słowotwórczym

„-razić”, „raz”, „wrażliwość”, a także frazeologizmem „doświadczyć na własnej skórze”. Zarazem Miłobędzka nie tworzy utopii panemпатii, ale wie, że należy sobie uświadomić, z kim/czym nie można się utożsamić, poznawać swoje granice, może po to, by je następnie świadomie umieć znieść: „Nie potrafię wejść w każdą skórę. Granice mojej wrażliwości”. Prowadzi to do pewnego rodzaju „świętej obojętności na wrażliwość”, a to jest najgłębiej buddyjskie, jogiczne, zenowe – czego często na Zachodzie się nie rozumie, w empatii widząc jakąś czułość. „Cud wrażliwości: nie ma wrażliwości” oraz: „Nie grubość skóry decyduje. Decyduje sposób w jaki zadajesz razy”. Doświadczenie świata w o g ó l e w tym wierszu zostaje uznane za „bolesne”, „rażące”, jest nie do uniknięcia, ale ta właściwa, prawdziwa empatia nie polega na „porażeniu pięknoscią róży”, jak drwi poetka, ani też na „gruboskórności”, uzyskaniu obojętnej kokona, niewzruszoności. To jest paradoks nie- i uczestnictwa. (Właśnie takie paradoksy życia opisuje zasada „absolutnie sprzecznej samotożsamości” Nishidy). Staje się to też wyzwaniem pisarskim. Róża... „Porażenie masakrą pokrzyw – kto to słyszał?”. Dlatego: mówić tak, jakby się było „rozpłyniętym”. „Rozpłynąć, rozwiać się – w tobie, w świecie, w tekście”. Oto paradoks uczestnictwa i nie-. Jest się wszędzie, we i ze wszystkim(i), ale jakby się nie było niczym.

A w *Anaglifach* mamy ironiczną kpinkę z tak (zachodnio) rozumianych *correspondances* – jak myślę (nikt z piszących o tym cyklu na takie pokrewieństwo nie zwrócił uwagi). Właśnie dlatego wydaje mi się, że „wschodnia empatia”, mówiąc hasłowo, także jako postawa hermeneutyczna, jest dużo trafniejsza niż np. projekty wczytywania w Miłobędzką tzw. „po-etyki” czy etyki dekonstrukcji (Derrida i zwłaszcza Lévinas), dlatego że zbyt wiele jest w tych „etykach” projektowania, stwierdzania, ustalania, oddzielania, gadulstwa po prostu – a za mało wczucia. U Winieckiej uwagi o przyjaźni po-etycznej jeszcze się jakoś bronię w całym wywodzie, ale tekst Marcina Jaworskiego O *przyjaźni* wydaje mi się grzeszyć zbytnim Zachodem. Joanna Mueller recenzując *Miłobędzką wielokrotnie* dla „Wakatu”, z radością zauważyła, że:

„niemal wszystkie teksty zgromadzone (...) są (niezależnie od płci autorów) pisane z perspektywy matczynej – i przeczuwam też, że o niektórych rodzajach poezji nie da się po prostu napisać inaczej”.

Szlachetne to życzenie, ale utopijne, moim zdaniem. Niestety, stety, da się pisać inaczej, ale zgadzamy się z Mueller, że macierzyńsko jest lepiej. Nie zgadzamy, że „niemal wszystkie teksty SA” – według mnie tylko kilka...

Ale czy w moim „macierzyńskim” myśleniu o poetce, osobistym, pod kątem także dalszego o niej pisania, książka ta odgrywa ważną rolę, przyda się? („Spotecznie” odgrywa o tyle ważną, że jest pierwsza i jedyna o tej poetce). Poza czterema wyróżnionymi szkicami – niespecjalnie. Grzeszy ona ponadto niekiedy warszatem, wspomnianym wcześniej „niedoinformowaniem”. Nie chodzi mi tylko o to, że autorom nie są znane akurat moje teksty. Nie są znane prawie żadne teksty o Miłobędzkiej z ostatnich lat... Okazyjnie cytowany jest Barańczak. Zupełnie pominięto teksty Leszka Szarugi,

które nawet nie leżą „rozproszone w czasopismach”, bo weszły do książki krytycznej; nie pamięta się o szkicu Adriany Szymańskiej, jej recenzjach, recenzjach Bogusława Kierca, Joanny Orskiej, Karola Maliszewskiego, Tomasza Cieślaka-Sokołowskiego, Anny Kałuży, Joanny Gizy-Stępień, Wojciecha Kaliszewskiego, Jacka Gutorowa... ani o szkicu Agnieszki Kluby o poetykach lingwistycznych, gdzie zajęła się także ową, fascynującą dla wielu, kwestią nowoczesnego czy po- stosunku do języka. Ponieważ jest to kolejna „zbiórówka”, która trafia w moje ręce, o pisarzu wciąż czynnym i na bieżąco recenzowanym, albo książka o bieżącej poezji, w której prawie w ogóle się nie zna żadnych wcześniejszych prób, a pisze według zasady „przed nami nikogo nie było”, skoro nawet tak zwany „profesjonalny filolog” nie zagląda do prasy literackiej, to... nasuwa się ponure pytanie, dla kogo to się w ogóle robi? po co? Jakie podejście do zawodu się kształtuje? „Przeczytaj parę wierszy danego poety i bazując na swoim osobistym geniuszu badawczym, napisz parę stron”?! Ponieważ z recenzji cytowane są dwie, Agaty Kuli i Adama Poprawy, obie z „Tygodnika Powszechnego”, to nasuwa mi się sarkastyczny wniosek, że przyczyną tego stanu nie jest to, że po „Tygodnik” nie trzeba wyjść do Empiku, wystarczy do kiosku, ale że zasoby „Tygodnika”, po prostu, dostępne są *on-line*... Tak ma wyglądać dialog profesjonalistów? Więc, odpowiadając na pytanie, czy piszę kolejny tekst o poetce, cytowałbym te szkice, odpowiem, że prywatnie do mojego czytania niewiele wnoszą, ale tak, bo – nie, to nie *noblesse*, lecz *professional correctness* – *oblige*.

\* *Mitobędzka wielokrotnie*, pod red. P. Śliwińskiego, Wyd. Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, Poznań 2008, ss. 200.



Zdjęcie Maciej Czerwonka



Zdjęcie Maciej Czerwonka